

ĆWICZENIA



— Co robi twój mąż? Czyżby miał jakieś wielkie zmartwienie?
— Nie, on bierze udział w jutrzejszym turnieju szachowym, a dziś już przygotowuje się do niego

Lekcja literatury

Stara to anegdota, ale dobra. Opowiadał ją zmarły tragiczną śmiercią rysownik Kamil Maciejewicz.

Rzecz działa się w Warszawie, w roku 1919. Ministerium spraw wojсковych zorganizowało kursy literatury polskiej dla generałów, którzy z armii zaborczych przeszli do armii polskiej. Wykładowcą był młody major.

Właśnie ma być lekcja. Pan major, zamierzając opowiedzieć słuchaczom o Zygmuncie Krasińskim, wykaligrafował na tablicy tytuł najpiękniejszego utworu tego klasyka, mianowicie „Irydion”. Wchodzą generałowie, zajmują miejsca.

— Kto to napisał? — pyta major, wskazując na tablicę.

Cisza przez kilka sekund. Generałowie spoglądają nieufnie je den na drugiego. Wreszcie wstaje najstarszy wiekiem i, szarpając wzdenerwowaniu wąsa, mówi:

— Panie majorze, my sobie wyobrażamy takie traktowanie. My, starzy port-urcy, i pan nas o to posądza!

Honor stajni wyścigowej

Znany na bruku warszawskim hodowca koni, czyli właściciel stajni wyścigowej, wygrał większą sumę, to też poszedł zabawić się na mieście. Wracając do domu i zastając swą żonę w towarzystwie dzokiera, zajętych konwersacją bardzo poufałą. Dama jest w pyjanie, dzokier w barwach pana domu.

Awantura, krzyki. Mąż, zwymyślawszy żonę, zwraca się do jeżdźcy:

— A pan nie pokazuje mi się na oczy. Dziś przejechałeś się po raz ostatni w barwach mojej stajni.



— Cudowna dziewczyna. Gdybym tylko wiedział pod jakim pozorem ją zaczepić?

W szkole

Nauczyciel: — Dlaczego się spóźniłeś?

Uczeń: — Bo ojciec mnie potrzebował.

Nauczyciel: — A czy nie mógł wyręczyć się kim innym?

Uczeń: — O, co to, to nie. Bo spuścił mi łanie za przyczepienie psu patelni do ogona.

Zły początek

Karetką więzienną jadą na miejsce stracenia dwaj bandyci. Gawędzą bez zapału:

— Jaki dziś mamy dzień?

— Poniedziałek.

— Złe się tydzień zaczyna...

Paczka

(Historia autentyczna)

— Życie, to najlepszy bajkopisarz, dramaturg i humorysta — powiedział niezapomniany Dickens i każdy z nas ze czterdziestu tysięcy razy stwierdził oświadczenie, że to święta prawda.

Oto, jaka historia wydarzyła się niedawno jednemu z najspokojniejszych obywateli tej stolicy. W czwartego dnia święta, czyli mówiąc kalendarzowo, w poniedziałek poświęcony, zjawia się u niego listonosz. Zazwyczaj listonosze, przynajmniej tutaj, słyną z grzeczności i uprzejmego obejścia. Listy i paczki wręczają z uśmiechem, zawsze pogodni i skorzy do wesółych uwag. Tymczasem ten przybył z twarzą ponurą, jak gradowa chmura i jak tylko znalazł się w przedpokoju, zamiast oddać przesyłkę z wersalskim gestem, spojrzawszy z wściekłością, rzucił paczkę o ziemię i, nie tylko nie powitał adresata wesóło, ale przeciwnie: obrzucił go stęskiem obelg, wśród których wielokrotnie powtarzała się nader popularna choroba narządów pokarmowych, nagminnie grasująca na Wschodzie.

Przeżartą adreśat z otwartymi ustami słuchał tego expozycji, nie nie rozumiejąc, co się dzieje.

— Wszystkie listy mi pańska paczka zafeturyzowała — urzeszczał tymczasem listonosz — gdzie pójdę, każdy naprzód nosem kręci, potem list wącha, a wreszcie klnie mnie

— U nas mroź — pisała kuzynka — myślę więc, że ryby dojadą dobrze

Owszem, dojechały dobrze, ale trochę późno. Widać, jakimś sposobem, paczka żywnościowa zamarała w drodze urzędowej nieco dłużej, niż list i przeleżała przez święta w urzędzie. A że tegoroczne święta tak się wspaniale toczyły, że było ich aż, z wiliu lącząc, cztery, więc w połączeniu z ciepłą zimą warszawską, zupełnie wystarczyło na piękne kilowego szczupaczka, dwa duże, trzyfuntowe karpie i kilkanaście karasków.

Skombinowawszy to wszystko, nieszczęsny adresat złapał się za głowę.

— Ale co ja teraz z tym wszystkim zrobię? — zawołał z rozpaczą. W przedpokoju już teraz nie można było wytrzymać, choć paczka, leżąca dopiero pięć minut! Gdyby kto sfabrykował gaz trujący, wywołując najbardziej skoncentrowane esencje ze zdechłego konia, zepsutych jaj, tranu i jawańskich fiolków — to by otrzymał zaledwie słaby oddech woni, jaką szerzyła złośliwa paczka. A co będzie za kwadrans?

Kuzyn uczynnych poleśników chwycił ich dowód młodej pamięci i pogalopował do kuchni. Przypomniał sobie, że tak właśnie w podobnych razach postępował sławny Landru. Jak na złość, akurat nie było ognia pod blachą. Nie wiele myśląc, wyciągnął chustkę, polat ją ocieł (coś mu się majaczyło w pamięci, że ten system stosowali w „Quo Vadis” grabarze ciat przy „puticuli”), obwiązał sobie twarz i, omdlewając od duszącego prezentu, zaczął rozpałać ogień. Jak na złość, drzewo było mokre i najstraszniejsze, pamiętne z czasów wojskowych, kłaty, młotane na ogień, nic nie pomagały.

Długo pracował nieszczęsny adresat, zanim nareszcie nikły, czerwony płomyk zaczął lizać czarne bryły węgla.

Kiedyż to się tak rozpała, aby pochłonąć taką furę? — myślał z kamienną rozpaczą. Wtem weszła do kuchni żona, wracająca z miąsa. Już na schodach czuła, że w domu znalazło się coś nader podej-

znanego, a wszedłszy do mieszkanca doznała okropnego zrozumienia: to coś znalazło się właśnie u nich. Wpadła do kuchni i stanęła, jak rażona gromem. Mąż czarny i umorusany sadzą, zakwiefiony nie mniej zasmarowaną chustą, z oczyma, w których czaiło się obłąkanie, niecił po coś ogień, a na podłodze leżało jakieś potwornie wonięjące cielsko.

— Co się tu dzieje? — wrzasnęła małżonka głosem tak histerycznym, jaki wydać może tylko kobieta, której serce przenikają najokropniejsze podejrzenia.

Mąż w krótkich słowach wyjaśnił przebieg wypadków.

— Co? — krzyknęła żona — piętnaście funtów zdechłych ryb chcesz spalić w kuchni? W naszej kuchni? W tej chwili wyrzucić to na śmietnik!

Mąż posłusznie ujął paczkę i trzymając ją możliwie najdalej od nosa, poszedł na podwórze.

Teraz dopiero rozpoczął się dramat Szekspira. Strupel, który już dawno chodził po podwórzu i wietrzył, jak rosowy wyżeł (górnym wiatrem), ujrawszy zakwiefione monstrum, skradając się do śmietnika, naprzód stanął, niepomiernie zdziwiony, a potem pociągnął nosem raz i drugi, zmiarkował, jeśli nie wszystko, to przynajmniej trzy czwarte i tygrysim skokiem rzucił się ku lokatorowi.

Przemówił ze swadą, wobec której koncert listonosza był dziecinną zabawką. Zniechęcił osobiście człowieka, który chce mu, jak mówił, zapowietrzyć całe podwórko, prócz tego zbezczeszczył jego rodzinę i wszystkich przodków wreszcie zagroził, że jeśli jego rozmówca nie zabierze się z tym, co trzyma w garści, wónt do wielkiej Aniłki, to go w pięć minut potem odwiedzie Pogoniw na miejsce wiecznego spoczynku.

Znękany człowiek oparł się bezsilnie o róg śmietnika i patrzył osowiałym wzrokiem na tłum, który zgromadził się tymczasem na odgłos kłótni.

— Dam pięć złotych temu, ożwał się wreszcie — kto wyrzuci to świństwo gdzieś dalej...

— Daj pan dwadziestaka — odpowiedział niechętnie jeden z młodszych słuchaczy — to zaniosę paczkę do Wistki.

— Masz! — jęknął bez targu nieszczęśliwiec, sięgając do kieszeni po ostatnie dwadzieścia złotych — i bierz to co przedziej...

Młodzieniec flegmatycznie zainkasował naprzód pieniądze, a potem ujął za sznurek.

— Co tam jest? — spytał od niechęci — kot?

— Nie, ryby... spóźniły się na wilię...

Młody człowiek ze zrozumieniem kiwnął głową.

STOP.

WSZYSTKO DO SPORTÓW ZIMOWYCH NAJTAŃSZEJ w sklepie labr.

C. GRABOWSKI WARSZAWA - SZPITALNA 1

ŻYDOWSKA BUŁWA ZAJA POPIERA FRONT LUDOWY

TOWARZYSZE („Szarża”)

Nie o to!

Północ minęła, zaniepokojony małżonek mruczy sam do siebie: — Cemuż ona nie wraca? Oby tylko mnie nie spotkało co złego...

Pierwszorzędne akoski KALKI, TAŚMY, ATRAMENTY, TUSZE KLEJE poleca „SŁOŃCE” Spółka z o.o. WARSZAWA, UL. ŁODŃSKA 5/8, tel. 9-53-58 Zadać wszędzie

High - I fe

Marysia spod Łowicza, po przyjeździe do Warszawy, znalazła służbę w domu baronostwa Parisblumów.

Minął miesiąc, Marysia przychodzi do pani baronowej i zgłasza dymisję.

— Czy może ja byłam dla Marysi niedobra? — pyta pani domu.

— E, gdzież tam.

— To może jaśnie paniątka była dla Marysi niedobra?

— E, jaśnie paniątka była dobra.

— To może jaśnie panicz był niedobry?

— E, jaśnie panicz był dobry.

— Więc o co Marysia chodzi?

— Bo w bramie wszyscy się śmieją, że u żydów parszywych służę.

Prawdziwy talent

Rozmawiano w kawiarni o pewnym płodnym pisarzu, który świetnie lansuje swe książki, mimo że jest nudny, poza tem należy do P.A.L. Ktoś zrobił uszczypliwą uwagę o jego talencie. Na to odzywa się inny:

— Jakto, więc to ma być maly talent? Moi panowie, aby sprzedać takie książki potrzeba nielada talentu!

Podróżuj samolotem

W CYRKU



Pogromca: — Idź na swoją ku! Psujesz mi cały numer.

W poszukiwaniu

Po kilku latach wyjęzionej pracy, młody Mazurkiewicz zdał wszystkie egzaminy, napisał pracę dyplomową i został doktorem medycyny. Krewni urządził składkę i zafundowali mu gabinet z poczekalnią. Ale świeżo upieczony lekarz długo oczekiwał na klientelę.

Pewnego ranka, wychodząc z domu, był zaczepiony przez uliczną sprzedawczynię gazet.

— Mam coś dla pana — zawołała. — Oto dano mi do handlu broszurkę pod tytułem „Jak należy szukać lekarza”.

— Moja dobra niewiasto — rzekł na to Mazurkiewicz — jeżeli wyjdzie poradnik, jak należy szukać pacjenta, to napewno kupię.



Tak wygląda mieszkanie autora słynnej książki „Jak zostać milionerem”



Gdy nauczyciel pływania uczy jazdy na łyżwach

Rotschild i Ro'schild

Wiedeński baron Rotschild, u którego zatrzymał się na święta b. król angielski, słynie z dokładności w rachunkach.

Baron ten odwiedził w roku ubiegłym swego kuzyna z linii francuskiej. Przechadzali się po bulwarach paryskich, gdy raptem wybiegła gromada gazeciarzy z dodatkami nadzwyczajnym.

Rotschild - Francuz sięgnął do kieszeni, a nie znalazłszy w niej drobnych, rzekł do kuzyna:

— Zostawiłem portmonetkę w domu. Pożycz mi na gazetę.

— Bardzo proszę — odparł wiedeńczyk — pożyczę ci, ale pod warunkiem, że przyjmiesz banknot stufrankowy.

— Dlaczego? Przecież masz drobne.

Na to Rotschild - Austriak z westchnieniem:

— Tak, tak, mam drobne... Ale o drobnych długach zapomina się łatwo.



Pan Karol jest zakochany

Konsultacje

Do gabinetu doktora Cymmer-szprota wchodzi dwaj młodzieńcy. Jeden z nich, osiemnastoletni Moniek, jest blady i drżący. Drugi, jego przyjaciel Beniek, też jest blady i zdradza nie mniejsze zdenerwowanie.

— Co panu jest, panie Moniek? — pyta lekarz.

— Ja, panie doktor, potrzebowałem poiknąć pięciozłotówkę.

— A pan czego się tak trzęsie panie Beniek?

— Bo to moja pięciozłotówka.

Humor sowiecki

Czasopismo sowieckie „Krokodil” przynosi rysunek z tekstem. Parkan, nieco śmieci, a przed par kanem olbrzymi „ogonek” kobiet i mężczyzn. Toczy się dialog:

— Na co czekacie?

— Na kolej podziemną. W przyszłym roku ma tu być otwarta stacja, ale dla pewności stanęliśmy w „ogonku”.

Nie o to!

Północ minęła, zaniepokojony małżonek mruczy sam do siebie:

— Cemuż ona nie wraca? Oby tylko mnie nie spotkało co złego...